



18 Tadeusz Kościuszko – pierwszy prezydent Rzeczypospolitej



51 Nowa płeć Paryża



32 Wynurzeni – czyli e-ekshibicjonizm



100 Pozytywiści we wsi Pokrzywno

TEMAT
TYGODNIA

- 10 Jacek Żakowski
Ile i komu państwo ma dać – i kto ma za to zapłacić?
- 14 Rozmowa z prof. **Stanisławem Obirkim** o ateistach w kraju fundamentalistów
- 18 Edwin Bendyk ESEJ
Polski Washington – Tadeusz Kościuszko

POLITYKA

- 22 Wojciech Szacki
Prof. Zdzisław Krasnodębski – pierwszy na euroliscie PiS

ROZMOWA
POLITYKI

- 25 **Dariusz Bruzgo** o tym, co zrobić z prokreacyjną rozrzutnością ośpalych życiowo

SPOŁECZEŃSTWO

- 28 Marcin Kołodziejczyk
Komornicy jak zbójnicy
- 32 Aneta Wawrzyńczak
Internetowy ekshibicjonizm nastolatków
- 34 Aleksandra Pezda
Kto i po co trafia dziś do harcerstwa
- 36 Joanna Podgórska
Obraza uczuć niereligijnych
- 38 Piotr Pytlakowski
Polscy mafiosi piszą pamiętniki

RYNEK

- 42 Adam Grzeszak
Paliwo polityczne: jeśli nie gaz, to co?
- 46 Cezary Kowanda
Mieszkańcy dzielą kasę – niewielką

ŚWIAT

- 48 Jerzy Celichowski, Łukasz Wójcik **WĘGRY**
Wiktoria Viktora Orbána
- 51 Joanna Orzechowska
FRANCJA Paryż nie taki piękny, jak go malują
- 54 Adam Krzemiński **NIEMCY**
Rusolubni Germanie

- 58 Jędrzej Winiecki **BIAŁORUŚ**
Czy w państwie Łukaszenki możliwy jest majdan

HISTORIA

- 60 Jarosław Pałka
Jak działała tajna Państwowa Komisja Bezpieczeństwa

NAUKA

- 64 Andrzej Hołdys
Samolot na radarze
- 68 Katarzyna Szymielewicz
OGLĄD I POGLĄD
Czy w sieci istnieje prywatność?

KULTURA

- 74 Aneta Kyzioł
Niechęć po Krymie, czyli rok kultury Polski i Rosji
- 77 Janusz Wróblewski
Wes Anderson i jego drużyna
- 80 Justyna Sobolewska
Lista nieobecności – czego Polacy nie czytają i dlaczego
- 82 **KAWIARNIA LITERACKA**
Grażyna Plebanek
- 83 **MEA PULPA** Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 84 Barbara Stolarz
Portland ożywia legendę Kurta Cobaina
- 88 Bartek Chaciński
#Hashtag wychodzi z internetu
- 92 Marcin Piątek
Stadionowi chuligani – ciąg dalszy nastąpił

NA WŁASNE
OCZY

- 100 Marcin Kołodziejczyk,
fotografie Stanisław Ciok
Unia w pegeerze

STAŁE RUBRYKI

- 6 Mleczko i Mizerski • 7 Ludzie i wydarzenia • 70 Afisz
• 94 Passent • 96 Hartman
• 97 Tym • 98 Fusy, plusy i minusy • 99 Do i od redakcji
• 106 Polityka i obyczaje



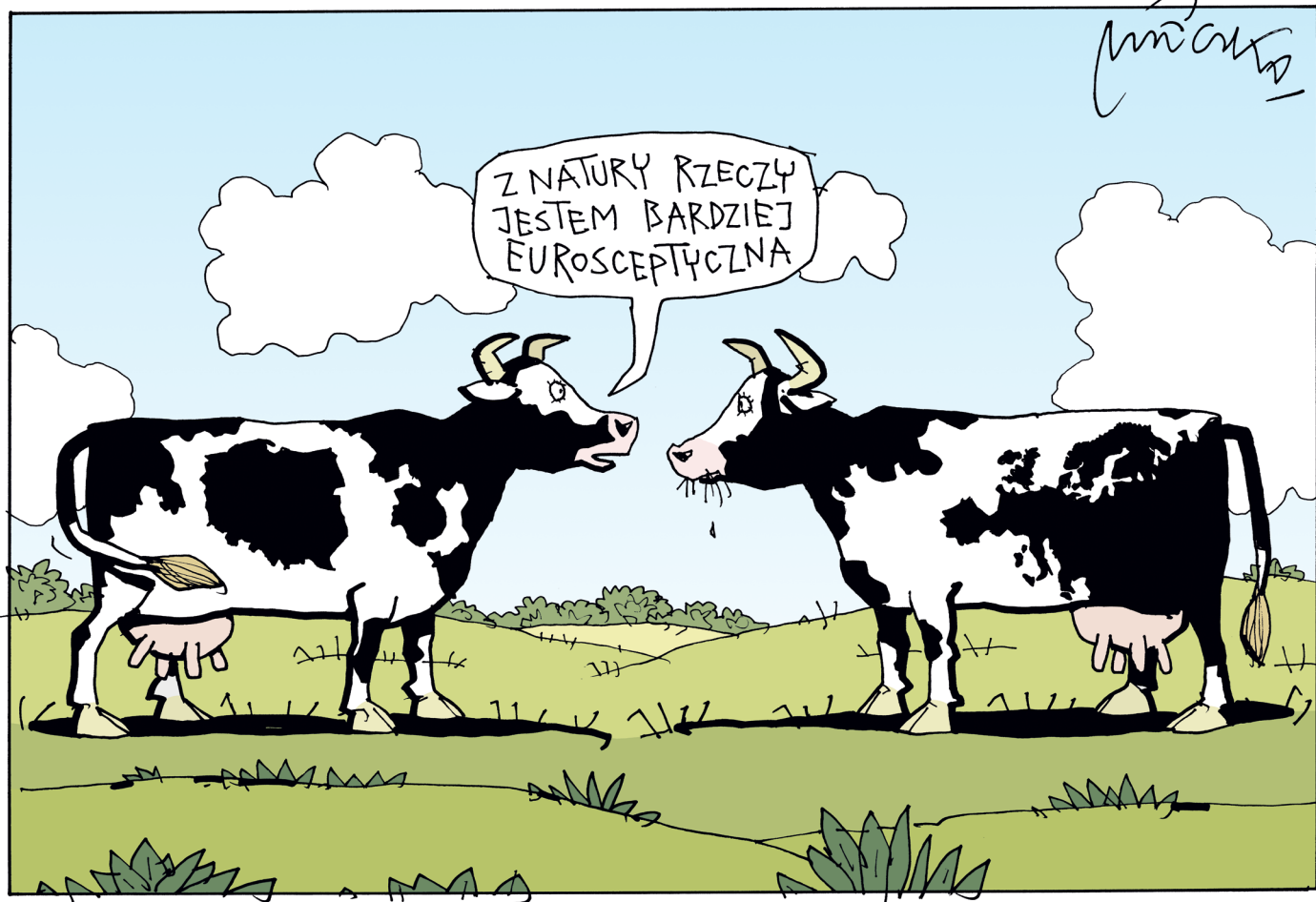
vistula.pl

VISTULA

the men's world

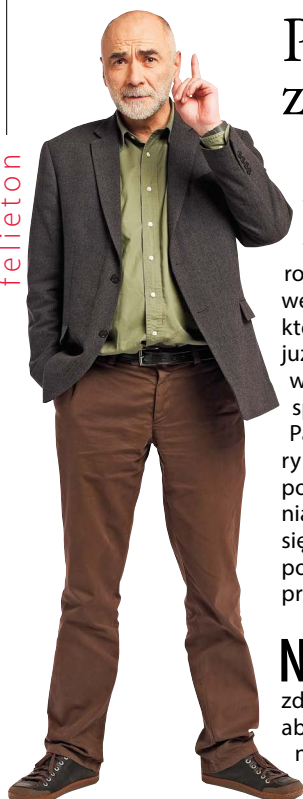
[Kup książkę](#)

Janusz Palikot



sławomir mizerski z życia sfer

felieton



Podstępne zaufanie

Aktualnie żywo dyskutowany jest problem, czy w polityce należy robić karierę, a jeśli nie, to co właściwie trzeba w niej robić? Dyskusję wywołały kontrowersyjne słowa Janusza Palikota, który wprowadził karierę w polityce już zrobił, ale teraz otwarcie namawia do tego innych. Z potępieniem spotkała się zwłaszcza sugestia Palikota, że w celu zrobienia kariery w polityce jego partyjni koledzy powinni dążyć do zdobycia zaufania obywateli poprzez zapoznanie się z ich problemami, a nawet poprzez próbę rozwiązania tych problemów.

Niektórzy komentatorzy uważają, że próba podstępnego zdobycia czyjegoś zaufania po to, aby potem robić polityczną karierę na rozwiązywaniu jego problemów, jest moralnie nie do przy-

jęcia. Zdaniem tych komentatorów zwykła ludzka przyzwoitość nakazuje uszanowanie ludzkich problemów poprzez powstrzymanie się od mieszania się w ich rozwiązywanie z niskich pobudek, takich jak chęć zrobienia politycznej kariery.

Słowa Janusza Palikota (za którego polityk ten do tej pory nie przeprosił) pokazują, jaki poziom osiągnęła nasza polityka. Jest to poziom, na którym polityczną karierę robi się głównie dzięki temu, że wykorzystuje się każdą nadarzącą się okazję do zdobycia zaufania osób ubogich, chorych i pokrzywdzonych po to, aby im pomóc. Całe szczęście, że nie wszyscy posłowie i senatorowie ulegają pokusie karierowiczostwa. Wciąż jeszcze można wśród nich znaleźć ludzi, którzy nie szukają na siłę nabrzmiałych społecznych problemów do rozwiązania (jak wiadomo i tak nie da się rozwiązać), ale skupiają się na szarej, codziennej działalności zmierzającej

do odwiedzenia jak największej liczby atrakcyjnych miejsc na całym świecie oraz zapewnienia godziwego bytu sobie i swoim najbliższym. Ponieważ robią to bez rozgłosu, medialnej wrzawy i dbania o karierę, mało o nich wiemy, często nie znamy nawet ich twarzy i nazwisk. Jednak wielu z tych ludzi zasiada w Sejmie i Senacie od kilku kadencji, co dowodzi, że wykonywana przez nich robota jest przez wyborców doceniana.

Reakcja na słowa Palikota pokazuje, że przyzwolenia na robienie kariery w polityce nie ma, dlatego trudno się dziwić, że najbardziej zapobiegliwi posłowie i senatorowie na wszelki wypadek porobili kariery wcześniej. Mam tu na myśli m.in. niełatwe kariery estradowych artystów, sportowców czy uczestników programów rozrywkowych w telewizji. Dzięki tym karierom osoby, które je zrobiły, po wejściu do Sejmu czy Senatu są w tej szczególnej sytuacji, że nie muszą już nic robić.

Spoty – kłopoty

Co za cymbał wymyślił igrzyska w Krakowie? – zapytała prof. Magdalena Środa, od dawna oburzona tym, że budujemy stadiony, organizujemy wielkie widowiska, głównie dla panów, w ramach systemu patriarchalnego, a na barki kobiet zrzucamy odpowiedzialność, choćby za niepełnosprawne dzieci. Inicjatorkę przedsięwzięcia, posłankę Platformy Jagnę Marczałajtis, która słabo się nadaje na przedstawicielkę patriarchy, zasłonił męską pierśią prezydent Krakowa prof. Jacek Majchrowski, który inicjatywę po dżentelmeńsku wziął na siebie. Stwierdził, że nie może już słuchać tych idiotyzmów wypowiadanych przez krytyków olimpiady, że fundują nam oni tylko typowe polskie piekielko, poszerzając krąg wiecznych frustratów. Prezydent zadecydował – będzie referendum i niech mieszkańcy zabiorą głos (nie wierzy, by wielu było przeciw, bo tylko idiota – czytaj biznes – może igrzyska odrzucić). Na razie w rozgardiaszu słabo się przebijają głos wicepremier Elżbiety Bieńkowskiej, że lwia część kosztów muszą wziąć na siebie samorządy, a nowe ewentualne inwestycje centralne ograniczą się przede wszystkim do już zaplanowanych.

Tak więc czwarta kadencja prezydenta Krakowa, człowieka praktycznie bez politycznego zaplecza, coraz bliżej. Nawet wroowie przyznają, że na dziś konkurencji nie ma i mistrzowsko żegluguje między partyjnymi interesami. Za to jego potencjalny kontrkandydat, obecny szef sztabu wyborczego PiS Andrzej Duda, zaliczył już wpadkę przy produkcji pierwszego spotu telewizyjnego w kampanii do Parlamentu Europejskiego. Pomyłono tam prawie wszystko, co było do pomylenia. Szczególnie kompromitujące było przypisanie Jackowi Rostowskiemu (zadłużył Polskę bardziej niż Gierek – ogłosił pisowscy stratedzy) funkcji ministra skar-

bu. Wprawdzie Dudę przy produkcji feralnego spotu wspierał, jak wykazało wewnętrzne partyjne śledztwo, b. szef TVP2, ale jednak nie spał się, czym potwierdził, że ławka rezerwowych w partii Kaczyńskiego jednak krótka. Jeszcze chwilę i w partyjnych szeregach zapanuje tęsknota za Bielanem i Kamińskim, z których każdy walczy dziś na innym froncie. Ale jeśli to Bielan odpowiada za spoty Jarosława Gowina, który znów marzy o Polsce niepodzielonej i chce iść środkiem (ciekawe, jak łatwo Gowin zmienia kierunki, jeszcze niedawno chciał tylko na prawo), to może łatwiej znieść wpadkę Dudy. Jego spot przynajmniej nie usypia.

Pierwsze kampanijne reklamy dowodzą, że postulowane ongiś przez PO ograniczenie środków na kampanię, zwłaszcza billboardową i spotową, było ze wszech miar słuszne. Wyborcy na ogół tej produkcji nie zauważają. Na razie kampania przebiega zresztą w cieniu Ukrainy, choć już widać, że do maja na tym jednym temacie dociągnąć będzie trudno, nawet włączając drugi bieg, czyli starania np. o bezpieczeństwo energetyczne Europy, a więc i Polski. Premier właśnie przedstawił kolejny plan – rozsądny, ale dla wyborców mało porywający, a minister Sikorski przegrał z Norwegiem wyścig do fotela sekretarza generalnego NATO. Ta funkcja, w czasie dość powszechnego potrzebowania bronią, niewątpliwie budowałaby naszą narodową dumę, ale nie wyszło.

Jeszcze niedawno powszechne było przekonanie, że Platforma przegrała te wybory, a także każde następne. Teraz świat socjologiczno-sondażowy coraz częściej mówi, że jednak może wygrać, a co bardziej odważni twierdzą nawet, że z pewnością wygra. Generalnie o wyniku ma zdecydować frekwencja. Jeszcze w lutym spodziewana

niska frekwencja była na niekorzyść PO, której wyborca miał być zdemobilizowany i gotów dać swojej partii po nosie. W końcu od wyborów do PE podobno nic nie zależy (wyjawszy fakt, że 60 proc. obywateli w Polsce prawa powstaje właśnie w PE), a więc można iść za głosem serca i nawet pozostać w domu. Silnie zmotywowany elektorat PiS oczywiście pójdzie. Teraz socjologowie tłumaczą, że niska frekwencja sprzyja właśnie PO, bo do tych wyborów idzie wyborca bardziej świadomy, głównie z dużych miast, czyli ten bliższy PO. Natomiast wsie, małe miasteczka raczej zostaną w domu, bo tu jednak nie wybiera się wójta ani burmistrza czy choćby radnego. W dodatku nie wiadomo, czy Ojciec Dyrektor zachęci, bo nie dość, że wyrosła mu konkurencyjna telewizja, to jeszcze „jedynek” na listach nie dostał. I na nic zda się ogólnopolityczna kampania prezesa Kaczyńskiego powtarzającego uparcie (ostatnio w Koluśkach), że Polska to system korporacji. Czy w ogóle w Koluśkach istnieją jakieś silne korporacje, które doskwierałyby wyborcy?

Opowiadano mi o pewnej kandydatce, nie z PiS, która podczas spotkań w małych miasteczkach przekonywała zebranych, że najważniejsze, aby 40 proc. członków rad nadzorczych stanowiły kobiety. W jednym z takich miejsc wywołała niejaką konsternację, bo okazało się, że w pobliżu owej miejscowości nie ma akurat rad nadzorczych i wyborczynie nie bardzo wiedziały, o czym kandydatka mówi. Nie ma co jej jednak zbyt ganić. O tym, że politycy nie wiedzą, o czym mówią, przekonujemy się dość często. Dziś każdy partyjny rzecznik zaczyna pracę od porannej prasówki i gdy tylko coś mu w oko wpadnie (jak rzecznikowi SLD Dariuszowi Jońskiemu sprawa portalu empatia.pl), urządza konferencję prasową, a zaraz potem pisze do prokuratury i NIK. Prasa to ma teraz dobrze.

Jan Koza



© JAN KOZA

Poroszenko czy Tymoszenko



Jagienka Wilczak

Wybory prezydenckie na Ukrainie powinny się odbyć 25 maja. Są wyjątkowo ważne, pozwolą legitymizować władzę, o której dziś mówi się w Moskwie, że jest samozwańcza.

O najwyższy urząd w państwie zamierzają się ubiegać 24 osoby, ale liczą się najwyżej cztery nazwiska. Niespodziewana rezygnacja Witalija Kliczki zmieniła rozkład sił. Jego partia UDAR poprze kandydata Petro Poroszenkę.

Sondaże dają Poroszenke 24,9 proc. poparcia. Ten oligarcha i przemysłowiec, jeden z najbogatszych Ukraińców, nie stronił od polityki. Był jednym z liderów pomarańczowej rewolucji w 2004 r. Należąca do niego stacja telewizyjna 5 Kanał też zrobiła wówczas zawrotną karierę, pokazując prawdziwy obraz zdarzeń. Potem Poroszenko był szefem Rady Bezpieczeństwa Narodowego i ministrem spraw zagranicznych. Ale także w ekipie Mykoły Azarowa kierował resortem gospodarki. Znany był jego ostry konflikt z Julią Tymoszenko. Podczas drugiego Majdanu (który także sponsorował) prezentował umiarkowaną pozycję człowieka środka. Nie rzucał niemożliwych do spełnienia haseł. Nie spotykał się z Wiktorem Janukowyczem. To jego pierwszego dotknęły rosyjskie sankcje – wyroby czekoladowe jego firmy przestano wpuszczać do Rosji.

Rywalką Poroszenki, też trochę niespodziewanie, stała się Julia Tymoszenko (w sondażach – 8,2 proc. poparcia). Wiele analityków sądziło, że nie stanie w szranki z powodu choroby. Że wyciągnęła wnioski z sondaży i zrozumiała, że jej czas minął. Julia jednak oodzwołała cudownie i zapowiedziała walkę o prezydenturę, o każdy centymetr ziemi, który chce zagarnąć Putin. Nie przeszkadza jej, że nawet we własnej partii nie wszyscy ją popierają, a w kraju powstał społeczny front przeciwników Julii. Poroszenko i Tymoszenko mają podobny program, są proeuropejczy i antyrosyjscy, chcą walczyć z korupcją i zmieniać kraj na lepsze. To oni zapewne spotkają się w drugiej turze.

Warto obserwować walkę pozostałych kandydatów, bo wybory prezydenckie pokażą nowy rozkład sił politycznych, Ukraina już się zmienia.



Słowacja pod Dobrym Aniołem

Wbrew sondażom i analizom Słowacy wybrali sobie na prezydenta skromnego i kulturalnego biznesmena filantropa. I to jak wybrali – przy ok. 50-proc. frekwencji **Andrej Kiska** zyskał prawie 60 proc. głosów, nokautując konkurenta Roberta Ficę. Nokaut jest tym bardziej efektywny, że Fico od lat dominuje w słowackiej polityce. Od lat kieruje najpotężniejszą w kraju partią SMER, jest szefem rządu, większość w parlamencie w zasadzie głosuje pod jego dyktando. Fotel prezydenta był mu potrzebny właściwie jako kropka nad i – żeby jeszcze łatwiej podporządkowywać sobie państwo, majstrować przy konstytucji, zmieniać skład Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego.

Ficy nie udało się właśnie dlatego, że wybory wyglądały na czystą formalność. Słowacy od czasów meczaryzmu lat 90. są przeczułeni na dominację jednej opcji politycznej, a już szczególnie jednego przywódcy. Fico reklamuje się jako liberalny socjaldemokrata, ale nie gardzi ostrym słowem wobec Romów czy Węgrów albo antyunijnym populizmem. Ma też na pięknu z mediami – przegłosowane pod jego kierownictwem w 2008 r. prawo prasowe to w istocie

kaganiec. Od lat zagrożenie jedynie wisiało nad redakcjami, ale kij został użyty właśnie w marcu, tuż przed wyborami, kiedy lokalny tygodnik „Plus 7 dní” musiał opublikować sprostowanie jednego z opisanych polityków: wyjaśnienia jego autorstwa zajęły w sumie 54 strony, bo trzeba je było opublikować czcionką wielkości gazetowych tytułów.

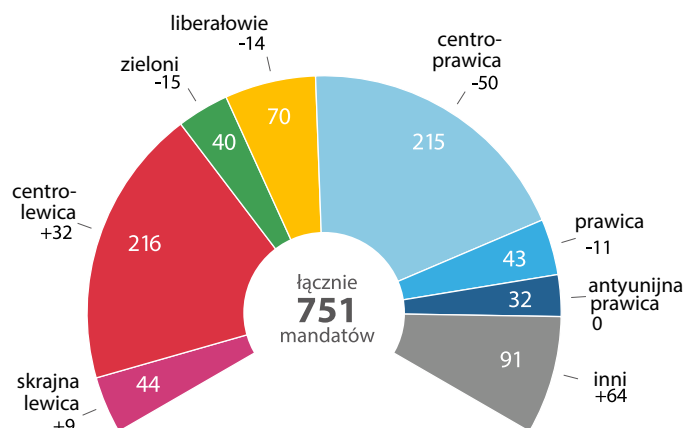
Rozbita opozycja nie była w stanie wystawić przeciw Ficy wspólnego kandydata, tymczasem niemal wszyscy przegrani kandydaci, partie polityczne, ale przede wszystkim media, aktorzy, artyści i celebryci nagle w ciągu kilkunastu dni poprzedzających drugą turę udzielili poparcia Andrejowi Kiske – biznesmenowi z Popradu, który dał się poznać jako założyciel fundacji „Dobry Anioł” wspierającej rodziny z ciężko chorymi dziećmi. Ogólnokrajowa kampania (podobna do wyborów w 1998 r., kiedy pospolitemu ruszeniu od katolickiej konserwy po postkomunistów udało się odsunąć od władzy pełzającą dyktaturę) przyniosła efekty. Sygnał jest jasny: Słowacy nie chcą, aby Fico dostał jeszcze więcej władzy. Dlatego woleli w prezydenckim pałacu zdolnego amatora, mimo całej niepewności tej sytuacji.

Hiszpania kapie się w winie

Wreszcie i Hiszpania odniosła sukces: właśnie z dumą ogłosiła, że z produkcją 50 mln hektolitrow (aż o 41 proc. więcej niż przed rokiem) awansowała na największego wytwórcę wina na świecie. Fakt, 2013 r. był rokiem wyjątkowo sprzyjającym – mokra wiosna, suche lato – ale też zaprocentowały wcześniejsze zabiegi modernizacyjne. W ten sposób udało się przeskoczyć Włochy (47 mln) i Francję (42 mln), dotychczasowych prymusów, a także, w kolejności: Stany Zjednoczone, Argentynę, Australię, Chile i RPA. Tym rekordowym hiszpańskim winem rocznika 2013 można by zapełnić 6,7 mld butelek, czyli wysłoby prawie po butelce na każdego mieszkańca planety. Niestety, nie bardzo można liczyć na samych Hiszpanów, zwłaszcza młodych, którzy piją go coraz mniej i uważają za oldskulowy przeżytek. Jeszcze 8 lat temu więcej się piło w domu, niż wysyłało w świat, teraz na eksport idzie dwa razy więcej niż na kraj. Hiszpańskim producentom marzy się wylansowanie u siebie trendu, który w Stanach i Wielkiej Brytanii budzi duże nadzieje: szybko rosnąca konsumpcja win białych i musujących wśród kobiet. Bardzo obiecujący jest też rynek chiński, gdzie następuje winne przebudzenie, ale tam akurat rzucili się wszyscy winiarze, z Francuzami na czele.

Kto wygra wybory w Europie?

POLITYKA
INSIGHT
CENTRUM ANALITYCZNE



+9/-14 – zmiana stanu posiadania względem wyborów w 2009 r.

Rozkład mandatów w Parlamencie Europejskim i zwycięstwa poszczególnych w krajach Unii



W skali Unii wybory europejskie wygrałaby dzisiaj centrolewica, ale przewagą zaledwie jednego mandatu – wynika z najnowszej prognozy centrum analitycznego POLITYKA INSIGHT. Centro-prawica, do której należą PO i PSL, straci 50 miejsc w Parlamencie Europejskim względem stanu po wyborach w 2009 r. Partie eurosceptyczne zyskają 35 mandatów – wejdzie m.in. francuski Front Narodowy, włoski Ruch Pięciu Gwiazd i niemiecka Alternatywa

dla Niemiec. W razie zwycięstwa centrolewica nie zbierze jednak większości i będzie skazana na kontynuację „wielkiej koalicji” z centroprawicą – będzie natomiast mogła nominować szefa Komisji Europejskiej. Prognozę przygotowano na podstawie 28 sondaży krajowych, wyniki przeliczono na mandaty z uwzględnieniem lokalnych ordynacji.

Więcej na www.politykainsight.pl



© AP/EAST NEWS

Dyktator mody

Nieczęsto **Xi Jinping**, przewodniczący ChRL (na fot. z królem **Holandii Wilhelmem Aleksandrem**), chwalony jest za swoje modowe wybory, chiński internet śmieje się np. z jego opiętych na brzuchu spodni, w których przywódca wygląda

dość niezdarnie. Jednak tym razem to Xi wyznacza wzorce, do czego wystarczyło przyjęcie wydane na cześć chińskiej pierwszej pary przez króla Holandii. Xi założył na nie nowoczesną wariację mundurku popularnego w czasach Mao. Ta prosta wojskowa kurtka, w podstawowym modelu z czterema kieszeniami, przywędrowała na Daleki Wschód z Prus. W Chinach noszono ją chętnie w latach 20. XX w., jej miłośnikiem był Sun Jat-sen, ojciec chińskiego republikanizmu. Wersja Xi ma trzy kieszenie, przy czym jedną z nich zaadaptowano na brustasze, w którą wetknięto czarną poszetkę w białe grochy.

Zachwycona chińska propaganda ogłosiła odrodzenie stroju narodowego i powrót do mody zarzuconej w latach 90., gdy sekretarze zaczęli nosić ciemne garnitury i jednokolorowe krawaty. Przy okazji przyjęcia w Hadze w komentarzach zauważono, że choć Xi potrafił wnieść nieco świeżości do chińskiego obyczaju politycznego – bo jako pierwszy przywódca wprowadził na salony swoją żonę – to przypomina również, że nie odżegnuje się od twardej linii partii i komunistycznego dziedzictwa. Nawet jeśli jego ascetyczną kurtkę uszyto z bardzo eleganckiego grantowego jedwabiu.

Ostatnia śmierć Doku Umarowa

Umarł już wielokrotnie, informacje o jego śmierci regularnie podawał Ramzan Kadyrow, prokremlowski namiestnik Czeczenii. Doku Umarow, samozwańczy przywódca Emirat Kaukaskiego, walczył o niepodległość islamskiego państwa wyznaniowego, które miałyby się rozciągnąć od Morza Czarnego po Kaspjskie. W marcu odejście przywódcy ogłosił sam Emirat, nie ujawnił jednak szczegółów śmierci wodza, możliwe, że ten zginął jeszcze zeszłej jesieni lub na początku roku. W rodzinnej Czeczenii Umarow specjalizował się w porwaniach dla okupu, w ten sposób znajdował pieniądze na antyrosyjski dżihad. Stał za wieloma głośnymi atakami terrorystycznymi przeprowadzonymi ostatnio w Rosji, przyznawał się do wysadzenia m.in. pociągu z Moskwy do Petersburga, zamachów w moskiewskim metrze i holu podmoskiewskiego lotniska. Kaukascy bojownicy, czy jak wolą inni – terroryści, wybrali już nowego emira, dotąd szariackiego sędziego, Dagestańczyka Aliaschaba Kebekowa. Specjaliści zakładają, że teraz właśnie do Dagestanu przeniesie się ciężar słabnącego powstania.

Ile komu dać?



Do matek protestujących w Sejmie dołączyli przed Sejmem rodzice niepełnosprawnych dorosłych. Następni się szykują. Czego i kto może od państwa oczekiwać i dlaczego?

JACEK ŻAKOWSKI

Twarz Donalda Tuska rozmawiającego z matkami protestującymi w Sejmie. Mięśnie napięte. Wzrok matowy. Żęby zaciśnięte. Wygląda na przestraszonego. A nie jest tchórzem. Kibolom patrzył prosto w oczy. To oni odwracali wzrok. Dlaczego teraz unikał kontaktu wzrokowego? Gdzie błędził wzrok towarzyszącego mu min. Kosiniaka-Kamysza. Dlaczego minister wyglądał jak człowiek, który bardzo chce, żeby go nie było tam, gdzie się znalazł? Chore dzieci. Rozeźlone matki. W takiej sytuacji nikt nie czułby się dobrze. Ale obaj zaliczyli wcześniej trudne sytuacje. Dlaczego teraz zachowywali się, jakby byli w potrzasku? Pewnie dlatego, że w nim byli...

Na pierwszy rzut oka sytuacja była standardowa. Protest społeczny. Premier negocjuje. Minister mu towarzyszy. Ale to nie był zwykły społeczny protest – o pensję, zamykanie szkół, obwodnice. Ten protest dotyczył splotu problemów, z którym żadna władza, opozycja, religia ani nauka sobie dziś nie radzą. Czy premier dobrze zrobił, odwiedzając matki protestujące w Sejmie i dając więcej pieniędzy? Czy powinien dać więcej i szybciej? Czy wcale? Czy nas na to stać? Ile dawać? Komu? Dlaczego? Jedyne, co wiemy na pewno, to że tego wszystkiego nie wiemy. Donald Tusk też nie ma skąd wiedzieć. Żadne ogólne reguły przecież nie istnieją. Każde społeczeństwo i państwo odpowiada inaczej. Świadomie lub nie, ale po swojemu.

Od dwóch dekad polska polityka jest reaktywna i fragmentaryczna. W odpowiedzi na wybuchające kryzysy formułuje wyrwykowe programy. Przeszkadza nam korupcja – łapiemy łapówkarzy. Pijany taranuje przystanek – wprowadzimy obowiązkowe alkomaty. Tak jest i tym razem. Matki żądają. Dać im czy odmówić? Co jest słusznym oczekiwaniami, a co wygórowanym roszczeniem? Kto by miał o tym decydować? I wedle jakich kryteriów?

Przez dwie dekady powszechnie wierzyliśmy, że w każdej sprawie da się sformułować pragmatyczną odpowiedź. Tak twierdzili medialni ekonomiści szerzący wiarę, że wszystko umiemy policzyć i zawsze wiemy, co się opłaca. Od załamania rynku finansowego w 2008 r. po kryzys ukraiński w 2014 r. dogmaty tej wiary się wały. Giełda nie transferuje pieniędzy tam, gdzie najefektywniej pracują. Wzrost gospodarczy nie likwiduje nędzy. Współzależność nie zapobiega wojnom i konfliktom. Wierzyliśmy, że rynek zwolni nas z męczącego myślenia i osądu, gdy tylko będziemy mu posłuszni. A nie dał rady. Uwolnione pieniądze miały wszystko załatwić. Ale nas zawiodły. Jak pisał szwajcarski dramaturg Kristof Marthaler: „dobrze było, póki pieniądze za nas pracowały. Ale się zbuntowały. Co teraz?”

Teraz znów trzeba myśleć i osądzać. A straciliśmy nawyki i narzędzia, których zbiorowe myślenie i osądzanie wymaga. Stąd globalny, popkulturowy sukces dwóch dojrzałych filozofów. Harrego G. Frankfurta z Princeton, który mając 80 lat u progu kryzysu, doznał nagłej sławy dzięki esejowi

© GETTY IMAGES

„O wciskaniu kitu” („On Bullshit”), i Michaela J. Sandela z Harvardu, który – gdy kryzys dojrzał – mając 60 lat, stał się światową sławą dzięki wykładom w wersji książkowej i telewizyjnej znanym pod tytułem „Sprawiedliwość. Jak postępować słusznie”.

Kiedy my się ostatnio zastanawialiśmy, „co jest sprawiedliwe” i „jak postępować słusznie”?

Po śmierci prof. Józefa Tischnera nikt nie był w stanie zgromadzić nas wokół takich rozważań. A nawet on nie zdołał obronić pytania „co jest sprawiedliwe?” przed siłą pytania, „co się bardziej opłaci?”.

Ulegliśmy złudzeniu, że pierwsze pytanie może nas tylko dzielić i wieść na idealistyczne manowce, a drugie nas pogodzi, umożliwiając racjonalny kompromis i dostatek. Myliliśmy się. Rzeczywistość okazała się mniej poznawalna, przewidywalna i obliczalna, niż nam się wydawało. Nie umiemy trafnie policzyć, co nam się opłaci nawet w średnim okresie, bo zwykle nieprzewidziane zdarzenia i efekty uboczne mają większe znaczenie niż przewidywane procesy. Natomiast to, co „sprawiedliwe”, zwykle okazuje się opłacalne.

Frankfurt i Sandel oznakowali drogę od prostego „kitu opłacalności” do skomplikowanego „kryterium sprawiedliwości”. Jakby szli tropem słynnego bon motu Słonimskiego: „gdy nie wiesz, jak się zachować, zachowaj się przyzwoicie”. Razem z całym Zachodem przeszliśmy dużą część tej drogi. Konkretnie tę część, która polega na zakwestionowaniu dotychczasowej wiary. Druga część jest przed nami.

Nową sytuację Zygmunt Bauman opisuje jako „interregnum”. Król umarł, niech żyje król! Tylko nie wiadomo, jaki. Zrzuciliśmy stare szaty, ale nie wiemy, co na siebie włożyć, więc kolejne wyzwania przyłapują nas na golasa. Każdego z nas prywatnie, a sprawujących władzę polityków – publicznie, na oczach milionów widzów. Dlatego, kiedy coś się wydarzy, politycy mają niewyraźne miny albo udają chojraków i plotą trzy po trzy.

Unijni politycy zostali złapani na golasa, gdy wybuchł kryzys finansowy i krymski. Premier Tusk i min. Kosiniak-Kamysz, gdy wezwały ich matki okupujące gmach Sejmu. Kto ma mózg bardziej złożony niż Arkadiusz Mularczyk czy Piotr Duda, ten rozumie, jak bardzo jesteśmy teraz niegotowi, żeby odpowiadać na takie wyzwania. Nie chodzi o niegotowość Tuska, Kosiniaka-Kamysza, Kaczyńskiego, Millera, Merkel czy Hollanda. Ta niegotowość jest przypadłością powszechną. Sęk w tym, że rzeczywistość nie zwalnia niegotowych z dawania odpowiedzi, tylko z tego powodu, że one nie istnieją. Nawet sondaże niewiele nam mówią o tym, czego zbiorowo chcemy, bo odzwierciedlają poglądy nieprzemyślane. Dlatego politycy udzielają odpowiedzi, które nic nie zmieniają lub zmieniają jak najmniej.

Żeby zrozumieć decyzyjny problem premiera i ministra, przyjmijmy dla uproszczenia, że o wsparciu, jakiego społeczeństwo chce udzielić osobom potrzebującym, decyduje spłot tylko pięciu kluczowych wartości: sprawiedliwości, solidarności, korzyści, bliskości i możliwości.

Oczywiście większość z nas się zgodzi, że dobrze jest być sprawiedliwym, a sprawiedliwe jest, by ludzie niewinnie cierpiący otrzymali wsparcie.

Zwłaszcza dotknięci przez los koniecznością sprawowania całodobowej opieki nad niezdolnym do samodzielności dzieckiem. Ich położenie jest ekstremalnie trudne. Nie ma w tym ich winy. Czujemy więc, że sprawiedliwość wymaga, byśmy przynajmniej finansowo zrekompensowali ich po-

łożenie. Gotowi jesteśmy ponieść wyrzeczenia, by zadość uczynić takiej sprawiedliwości. Jeśli ktoś ma wątpliwość, dotyczy ona tych rodzin, które i tak radzą sobie lepiej niż przeciętni Polacy. Dlatego taką sensację wywołują nowoczesne telefony protestujących matek i ich zdjęcia z zagrażających wakacji.

Tak się jednak składa, że ta sprawiedliwość daje też pewną korzyść. Dla części potencjalnych rodziców argument przeciw prokreacji stanowi obawa, że urodzi im się ciężko chore dziecko, co skazuje ich na wyrzeczenia przez całą resztę życia. Widok zdesperowanych matek protestujących w Sejmie te obawy wzmacnia. A większość z nas chce, by dzieci było więcej. Rząd w to inwestuje. Warto więc dopłacić, by zmniejszyć lęk hamujący decyzję o posiadaniu dziecka. Zapewne ostentacyjne wsparcie takich rodzin bardziej by zwiększyło przyszłą liczbę urodzin niż becikowe. Takich dzieci jest mało, więc to może się opłacić, bo więcej dzieci, to więcej podatników w przyszłości.

Sęk w tym, że w kolejce po większe wsparcie czekają już przed Sejmem rodzice dorosłych niezdolnych do samodzielnego życia. Oni są inaczej traktowani, bo trochę inne są wartości, z powodu których otrzymują wsparcie. Dzieci są z definicji niewinne, więc gdy cierpią, czujemy, że należy im się pełna rekompensata. Dlatego m.in. wszystkie dzieci mają darmową służbę zdrowia. Wobec dorosłych, oczekujących czy żądających wsparcia, działa raczej poczucie solidarności niż sprawiedliwości. A poczucie solidarności nie jest tak szczodre jak poczucie sprawiedliwości. Zwykle sugeruje nam pomoc na poziomie koniecznego minimum. Może to jest absurd, ale inne emocje czujemy, gdy cierpiący jest dzieckiem, niż gdy jest dorosłym. Więc inny jest też stosunek społeczeństwa do ich opiekunów i skłonność do pomocy. Żeby tę różnicę pokonać, trzeba by intensywnej rozmowy, która nigdy się nie odbyła.

Jeszcze trudniej jest zmobilizować społeczeństwo do bardziej szczodrego wsparcia dla osób opiekujących się starymi rodzicami.

Bo kryterium sprawiedliwości działa tu w jeszcze mniejszym stopniu, więc stosuje się tylko kryterium solidarności. Jakieś wsparcie się oczywiście należy każdemu, kto znalazł się w złej sytuacji, ale mocno chodzi nam po głowie (historycznie niezbyt słuszna) myśl, że starzy ludzie mieli całe życie, by jakoś zabezpieczyć siebie i bliskich przed ciężarem własnej starości. Tym chętniej tak czujemy, że mocno włącza się tu kryterium możliwości. Mówimy już bowiem o bardzo dużej liczbie potrzebujących, których będzie szybko przybywać. Czujemy, że gdybyśmy chcieli być dla tej grupy szczodrzy, musielibyśmy ponieść bolesne wyrzeczenia. Za wsparciem przemawia kryterium bliskości, bo elity mające wpływ na decyzje i opinię publiczną są zdominowane przez ludzi dobiegających starości i często mających niesamodzielną rodziców. Ale z kolei kryterium opłacalności jest słabe.

Szacunki wskazują, że opłaca się wsparcie, które dorosłym dzieciom niesamodzielną rodziców umożliwia pracę. Np. publiczny system dziennych domów opieki dla starszych działający podobnie jak żłobki czy publiczne systemy monitorowania staruszków, którzy są sami w domu. Tu jednak kryterium bliskości słabnie, bo duża część elit może sobie pozwolić na korzystanie z takiego wsparcia prywatnie, więc się specjalnie nie solidaryzuje z potrzebami ogółu.

Nawet gdyby sensowność silniejszego wsparcia dla rodzin niesamodzielną staruszków dałaby się wyliczyć, ►



► wiele by to zapewne nie zmieniło, bo i tak o gotowości do społecznej ofiarności decydują emocje. Wiarygodność szacunków i argumentów zależy od tego, w co ktoś chce uwierzyć, czyli na ile potwierdzają one jego system wartości. Kto w sprawiedliwości i solidarności nie widzi ważnej wartości, zwykle nie uwierzy w argument, który za nimi przemawia. Kto ma silne poczucie sprawiedliwości lub solidarności, ten chwyci się każdego argumentu, by je racjonalizować.

Mozna dość łatwo wykazać (jak zrobił to Richard Wilkinson), że społeczeństwa bardziej solidarne rozwijają się lepiej i są bardziej szczęśliwe. Ale nie uzyskamy stu-procentowej wiedzy, jak dużo solidarności trzeba, by kraj się dobrze rozwijał, ani gdzie tu jest jajko, a gdzie kura. Może kraje rozwijają się lepiej dlatego, że są bardziej solidarne? A może są bardziej solidarne dlatego, że je stać, bo z innego powodu rozwijają się lepiej? Dużo przemawia na rzecz pierwszej tezy, ale nigdy nie będzie pewności. Trzeba się więc odwołać do wartości. Jesteśmy wspólnotą. Jako wspólnota powinniśmy być sprawiedliwi wobec cierpiących niewinnie i solidarni wobec wszystkich cierpiących. To jest dobre. Ale co konkretnie należy się komu? Tego nie wiadomo.

Gdy narciarz złamie nogę, nie zostawimy go cierpiącego na stoku. Nikt mu nie powie, że „gdyby kózka nie skakała...”. A może, skoro podjął decyzję, by założyć narty i popełnił błąd, to powinien ponosić konsekwencje, zwalniając pieniądze, których brakuje na pomoc dla cierpiących niewinnie? Może powinien korzystać z solidarności częściowo. Może jego leczenie powinno być opłacone pół na pół z budżetu i prywatnej kieszonki? Jakie kryteria się tutaj stosuje? Czy płacimy za leczenie narciarza dlatego, że liczymy na jego powrót do pracy i podatki, które zapłaci (kryterium korzyści)? Czy dlatego, że chcemy mu pomóc w cierpieniu (solidarność) albo dlatego, że popieramy uprawianie sportu (korzyść)? Może dlatego, że narciarze to duża część elity decydującej o publicznych pieniądzach (bliskość)? A może dlatego, że nie mamy odwagi stworzyć niepoliczalnych kryteriów pomagania, więc się nad nimi nie zastanawiamy? Jakaś solidarność wydaje się sprawiedliwa wobec niesamodzielnych starców i wobec narciarza. Ale boimy się publicznie rozmawiać o tym, jaka się komu należy i jak bardzo solidarni albo sprawiedliwi powinniśmy wobec kogo być.

Szczególnie trudno jest nam otwarcie rozmawiać o tym, czego kto może oczekiwać i żądać od innych. Jakie wsparcie wspólnoty jest dobrym prawem jednostki? A jakie byłoby kapitulacją wobec bezpodstawnego roszczenia? To by się dało ustalić w obrębie pięciu wartości (sprawiedliwość, solidarność, korzyść, bliskość, możliwość), ale taka rozmowa jest trudna. Dlatego unikamy jej od ćwierć wieku. Protest w Sejmie i przed Sejmem pokazuje, że trzeba już z tymi unikami skończyć, jeżeli nie chcemy, by zalała nas fala roszczeń chaotycznie uznawanych lub nie, absurdalnie drenujących budżet i wywołujących kolejne napięcia.

Matki upominają się o pomoc w wysokości minimalnej płacy. Ale jeżeli nic wcześniej nie wskazywało nieszczęścia, sprawiedliwe by było, gdyby dostały równowartość przeciętnych dochodów. Znaczyłoby to, że wspólnota jest

sprawiedliwa i bierze na siebie skutki niezawinionego cierpienia, jakie spotkało jednostkę. Nie wiadomo jednak, czy Polacy chcą być tak sprawiedliwą wspólnotą. To by trzeba ustalić w debacie. Kiedy zaś taka rozmowa się nie toczy, wartości idą na bok i praktyka zależy od wyniku walki między wątpliwym w swej trafności argumentem korzyści („bo to się nie/opłaca”) a siłą fizyczną (górnicy), polityczną (elity) lub emocjonalną (chore dzieci). Upraszczając: kłamstwo zмага się z przemocą, nie dbając o publiczne dobro ani o wartości. Każdy wyrwa dla siebie, ile zdoła. A na końcu cały ten chaos przecina brutalne pytanie, skąd na to wziąć i kto ma za to zapłacić?

To pytanie dotyczy wszystkich wydatków państwa – nie tylko pomagania. A o tym też boimy się rozmawiać. Gdy matki żądają pieniędzy, słyszymy, że na 200 zł nas stać, a na więcej nie. Ale podział budżetu nie jest zapisany w niebie. Jest zawsze wynikiem kompromisów, o których też nie mamy zwyczaju publicznie rozmawiać. Społeczeństwo się nimi nie interesuje i ich nie rozumie. Dlatego media ich nie relacjonują, a politycy nawet nie próbują wytłumaczyć. To sprawia, że dużo wydajemy z niejasnych powodów (narciarz) i że chaotycznie zbieramy pieniądze. Zasada,

że kto ma realną władzę, ten podatków praktycznie nie płaci, obowiązuje dziś podobnie jak w każdej epoce. Kapitalizm korporacyjny, ku któremu Zachód od kilku dekad ciąży, stworzył m.in. raje podatkowe, dzięki którym klasa wyższa i korporacje płacą bardzo mało. To oddaje sposób, w jaki globalizacja dystrybuuje wpływ na władzę, ale w powszechnym odczuciu jest niesprawiedliwe i niesolidarne. Znow tak się składa, że to, co niesprawiedliwe, zapewne jest też nieopłacalne. Bo dusi wzrost i psuje politykę. Skutkiem jest popularyzacja polityki niosąca chaotyczne działania i zamieniająca różnice w wyniszczające konflikty.

W zasadzie nie ma już sporu, że takie rozłożenie ciężarów szkodzi wszystkim poza największymi beneficjentami. Ale w Europie nie widać siły, która by ten system zmieniła. Można go najwyżej łagodnie modyfikować. Rządy próbują to robić z miernym skutkiem. A póki nie rozłoży się sprawiedliwiej i bardziej solidarnie, trudno będzie o systemową sprawiedliwość i nawet solidarność w wydatkach.

Nie wiem, czy siedząc w fotelu wśród rozeźlonych matek premier myślał o całym tym splocie. Ale musiał czuć ciężar przez ćwierć wieku omijanych wyzwań, których nie ma gdzie ani z kim rozsypywać, nawet gdyby miał na to czas i ochotę. W Sejmie i na partyjnych zjazdach rządzi partyjna dyscyplina i duch walki o władzę blokujący drogę do zbiorowych rozważań. Opozycja popiera roszczenia bez względu na ich sens.

W mediach przestrzeni na debatę jest dość, by omówić przypadłość Trynkiewicza i ohydę Putina. Uniwersytety zajmują się uczeniem i zdobywaniem grantów. Think tanki okopały się na partyjnych pozycjach. W wolnym kraju każdy może sobie pogadać przy wódce, ale tak się społecznego konsensu nie stworzy. On wymaga permanentnej rozmowy wszystkich ze wszystkimi, a nikt się do niej nie garnie. Władza – ta i poprzednie – tak sobie nagrabiła, że została z tymi dylematami sama. I chyba nie ma już mocy, by tę samotność pokonać.

JACEK ŻAKOWSKI

